

Jadąc na koncert Kwartetu Lutosławskiego 24 maja zamyśliłem się w miejscu, gdzie Oława niemal styka się z Odrą. Tam, wśród drzew i wybujałej zieleni te dwie rzeki przypominają dwa głosy w muzyce zatopione w powolnym, rozlewnym kontrapunkcie. A zieleń, piękna i wiosenna, wybujała być może nieco aż zanadto, przypominając mijającemu ją rowerzyście, że globalnie w kwietniu zanotowano najwyższe temperatury od ponad wieku, co sprawić może, że niebawem popularne staną się we Wrocławiu koncerty na wodzie, zaś w Gdańsku pojawić się może nowy zwyczaj delektowania się sztuką dźwięków w łodziach podwodnych.

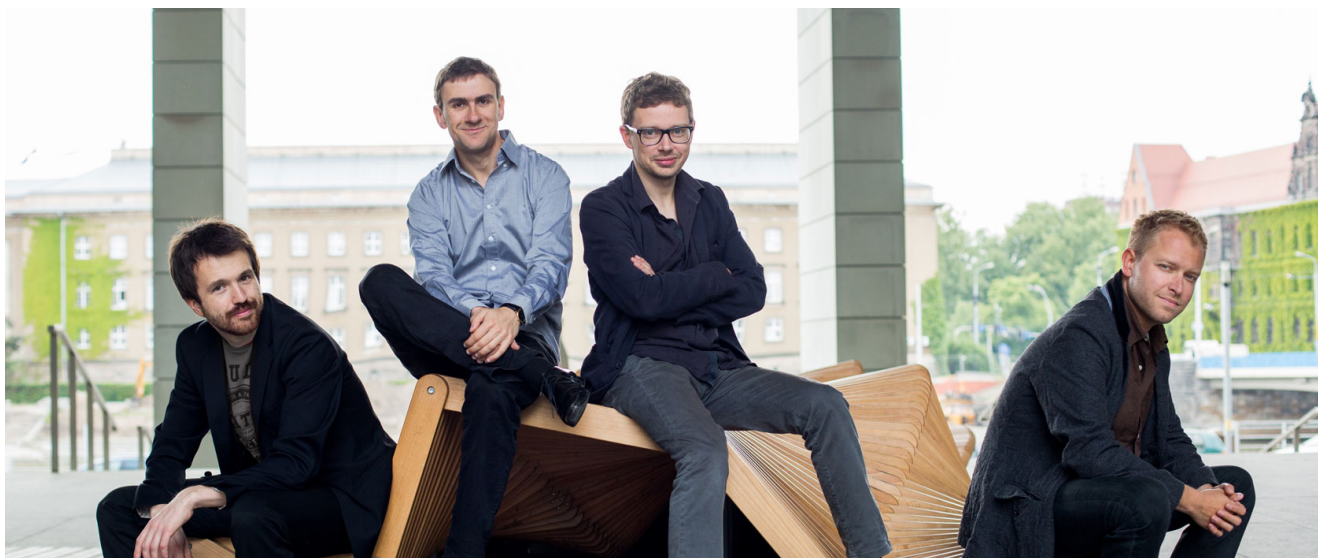


Rzeka Oława w kwietniu, foto. Jacek Tabisz

Tym razem zmierzałem przez Niskie Łąki na koncert gdzie pierwsza połowa składała się z dzieł polskich – Fantazji C-dur na kwartet smyczkowy Karola Kurpińskiego (1785–1857) i II Kwartetu smyczkowego Marcina Markowicza urodzonego w 1979 roku. Drugą połowę wieczoru zapełnił godnie Kwartet smyczkowy F-dur Maurice’a Ravela.

Jedni z czołowych polskich kameralistów byli w wielkiej

muzycznej formie. Dzieło Kurpińskiego zagrali z rozmachem, potężnym dźwiękiem, wspaniałą ekspresją i ogromną fantazją. Przecierałem oczy zdumiony, że Kurpiński, nie słynący przecież z form kameralnych i w ogóle nie za bardzo znany nawet w Polsce, tak atrakcyjnie pisał na kwartet! Ucieszyłem się, bo w historii polskiej muzyki miał Karol Kurpiński znaczenie kapitalne. Dyrygował między innymi pierwszym wykonaniem Koncertu fortepianowego f-moll Fryderyka Chopina i skomponował muzykę do Warszawianki. Był wieloletnim dyrektorem sceny operowej Teatru Narodowego i tworzył głównie pieśni oraz opery. A jednak jego kameralne dzieło, choć w formie swobodne, zaskoczyło mnie piękną melodyjnością, świetnymi i gustownymi przetworzeniami, oraz wokalnnością umiarkowaną bardzo jak na kompozytora głównie operowego. Polskie wątki ludowe, o których włączanie w muzykę Kurpiński zabiegał, zostały dodane lekko, oryginalnie, bez nachalnych szwów, co tak częste jest u kompozytorów polskich nie będących Chopinem czy Szymanowskim (wystarczy posłuchać niektórych utworów Paderewskiego, który przecież nie jest taki zły...). W ogóle było coś Chopinowskiego w tej elegancji i romantycznym umiarze Fantazji C-dur...



Lutosławski Quartet / fot. Łukasz Rajchert

Następne dzieło zachęciło mnie do tytułu tej recenzji. Był to II Kwartet smyczkowy Marcina Markowicza. Dzieło oparte na pięciu trzonach, przez które wyraźnie przebiega krótki, spajający wszystko ekspresyjny temat muzyczny. Utrzymane w estetyce broniącej piękna smyczkowego dźwięku i możliwości używania elementów melodycznych, ciążących czasem ku tonalności. Markowicz dał tu możliwość wykazania się wszystkim członkom zespołu w pięknych i poruszających solówkach. Jedną z inspiracji dla powstania dzieła była śmierć ojca kompozytora i proces wpadania w rozpacz i godzenia się ze światem po okrutnej stracie. To podejście przypomina oczywiście późne kwartety Beethovena, gdzie twórca też zmagał się z tragizmem ludzkiej egzystencji z podniesionym do końca czołem. Kwartet został zagrany rewelacyjnie, wspaniałym, plastycznym dźwiękiem, z ogromną miłością dla najdrobniejszych nawet smaczków i detali. Nic dziwnego, to w końcu jest to własne. muzyczne dziecko zespołu! A Marcin Markowicz, który niedawno otrzymał prestiżową nagrodę wrocławską, jest osobą niesamowitą. Nie tylko jest koncertmistrzem jednej z trzech najlepszych polskich orkiestr – NFM Filharmonii Wrocławskiej, nie tylko założył jeden z najlepszych polskich kwartetów, w którym jest drugim skrzypkiem, ale jeszcze komponuje i to ciekawie, intrygująco, osobiście, a nie marginalnie, na tle innych zajęć. Miło zresztą posłuchać kompozycji aktywnego kameralisty. Tak jak dyrygencki – kompozytorzy, Strauss i Mahler, mieli ogromną biegłość w orkiestracji, tak Markowicz doskonale sobie radzi z objęciem wyobraźnią formy kameralnej. Strauss i Mahler nie poszli ścieżką maksymalnej muzycznej rewolucji a la Schönberg, gdyż chcieli cieszyć się pięknem orkiestry, podobnie Markowicz stara się zachować pewną przystępność formy i ekspresji, co zresztą jest bardzo potrzebne i dobre. Już na Musica Polonica Nova skarżyłem się na jedną rzecz, o ile pamiętacie. Sam festiwal bardzo mi się podobał, ale irytowały mnie czasem poszukiwania na siłę innych metod gry na instrumentach smyczkowych niż smyczkiem i na strunach. Uważam na przykład, że stukanie w pudła instrumentów smyczkowych kompozytorzy powinni ograniczyć do minimum. Można

przecież dodać do utworu utalentowanego perkusistę i będzie lepiej. Jedyne dobre stukania na Musica Polonica Nova pochodziły ze wczesnego kwartetu Pendereckiego, który mądrze połączył je z uderzaniem w struny. Tego na perkusji raczej się nie robi i ma to sens. Dlatego tym bardziej cieszę się, że Markowicz ambitnie tworzy swój język kompozytorski nie negując właściwości instrumentów smyczkowych. A II Kwartet smyczkowy to utwór, który koniecznie trzeba nabyć na płycie i słuchać, słuchać, słuchać...

Ostatnim dziełem na koncercie był Kwartet Ravela. Piękne, oryginalne dzieło, choć wzorowane na twórczości Debussy'ego, z którym stanowi swoisty estetyczny „komplet”. Swego czasu przeczytałem znakomitą książkę Stefana Jarocińskiego „Debussy a impresjonizm i symbolizm”. Autor dokonuje w niej doskonałych merytorycznie, estetycznie i filozoficznie porównań między impresjonizmem oraz symbolizmem w muzyce Debussy'ego, w malarstwie i w poezji. Jego wniosek stanowi jedyną rzecz z którą się z Jarocińskim nie zgadzam – miałyby być Debussy symbolistą a nie impresjonistą. Trochę bez sensu, bo każdy kompozytor musi być symbolistą, chyba, że wiernie naśladuje śpiew ptaków, jak czasem Messiaen, czy pozwala działać czystemu przypadkowi, co zaczął Cage w niektórych swych dziełach. Jak się ma natomiast styl Ravela do impresjonizmu Debussy'ego? Cóż, jeśli porównamy Debussy'ego z Monetem, to Ravel będzie po części muzycznym Cézannem z uwagi na syntetyzm form i po części Matissem z uwagi na elegancję rysunku. Lecz kolorystyka obu malarzy trochę w tej analogii nie pasuje, gdyż Ravel ma zdecydowanie chłodniejszą, brytyjską jakby paletę barw, która muzycznie może kojarzyć się z licznym gronem brytyjskich kompozytorów, którzy zresztą się czasem Ravelem inspirowali. Kwartet Lutosławskiego wykonał to dzieło doskonale, przypominając mi o jedynym w swoim rodzaju „zapamiętaniu się w ruchu” balladowej, archaizowanej nieco drugiej części i o niezwykłym nastroju części skrajnych. Ravel

poza swoim postimpresjonizmem był też prekursorem neoklasycyzmu, lecz niemal żaden kompozytor neoklasycystyczny nie uzyskał takiego wyrafinowania formy przejawiającego się między innymi w niezwykłych, niemal odrealnionych współbrzmieniach. Coś takiego może zdarza się czasem Prokofiewowi w niezbyt znanym jego wczesnym balecie „Żelazny skok” i w koncertach fortepianowych, szczególnie w orkiestrze, kiedy fortepian schodzi na drugi plan. Kwartet Lutosławskiego mądrze i dość filozoficznie uchwycił to całe bogactwo stylistyczne francuskiego kompozytora, co sprawia, że wciąż myślę o tym kwartecie, choć minęła już cała noc i trochę poranka od koncertu.